

# Dziennik domowy.

*Próżno się na polu wadzisz,  
Jeśli doma nie uradzisz.*

REJ z NAGŁOWIC.

ROK 1840.

Poznań, dnia 16. Września.

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydana jest rycina mąd paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

## Miejsce rodzinne.

*Ach! więc wszystko minęło!...*

**DZIADY IV.**

*(Ciąg dalszy.)*

Zdzisław był w sielankowym humorze, gdy zaczął o pasmo wspomnień.

»Cichy, schludny domek w wiosce, gdzie świat przyszedłem, gdzie mię wykołysały pieczyoty matki, gdzie żądze były tak niewinne — dziewczyna jak anioł, z którą przeigrało się młode latka, — Zosia swawolna, co z zapłakanemi oczyma mówiła, gdy odjeżdżał: „będę czekać na pana!“ — doświadczony przyjaciel czuwający nad tobą, sierota, jak drugi ojciec — czegoż ci więcej potrzeba, abys nieżył bez celu? Taka błogość nigdy nieprzesycając wyprowadzi cię w koło obowiązków, których święte, ściśle pełnienie zapewni ci pokój na długie lata. O wiosko rodzinna! o kochanko młodości! o doświadczony przyjacielu! nieocenione skarby za tęsknotę, przesyt i nudę! Lecę już do was..

Konia! królestwo oddam za konia!...»

— Wołał jak ów król w Szekspirze. Ale nikt niepoddawał rumaka — a choćby go mógł zamienić na wygodny dyliżans Laffitte, Caillard, trzeba było pomyśleć o przyborach na drogę, o wyrobieniu paszportu, i o tysiącnych bagatelach, które zwykle z najpiękniejszych marzeń rozczarowują. Zdzisław acz entuzjasta, raz uknuwszy zamiar, mimo przeszkód ciągle się zbliżał do niego, lubo w ciągu tych przygotowań sumnienie zaczęło się burzyć i wyrzucać na wierzch jakieś skrupuły: że nieszlachetnie

opuszczać swoich, uświęcać co się potępiło, odkrywać słabość charakteru... jednakże serce, ten najwymowniejszy sofista, kiedy co sobie uroi, stało w charakterze patrona przed kratkami sumnienia: jedna jaskółka niesprowadzi wiosny; co ma się zrobić, zrobi się bez ciebie; przymożenie niedoli zapewnia powszechne zbawienie? Cóż szkodzi bystrzejszym ptakom, że jakiś tam kolibrzyk w kielichu cichego kwiatu uściele sobie gniazdeczko i wesoł będzie swięgotać?...

I kolibrzyk jak się uwziął, tak, niepożegnawszy ani przyjaciół, ani nieprzyjaciół, pędził na skrzydłach wiatru, do kochanki, do przyjaciela, do rodzinnej chatki, ażeśmy go ledwie dogonić zdołali na wązkiej drożynie, zbliżającego się do miejsc utęsknionych. Trzeba wiedzieć, iż wioska, do której z takim upragnieniem zmierzał, niebyła jego własnością. Nieboszczyk ojciec Zdzisława sprzedał ją był przed wielą laty, kapitał oddał na procent, a sam osiadł w stolicy dla wychowania jedynaka. Po stracie ojca (matka była dawniej umarła) Zdzisław zmuszony wyjeżdżać za granicę, powierzył swoją sumę przyjacielowi zaufanemu, z pełnomocnictwem lokowania jęj gdzie mu się podoba, byle mu regularnie procent dosyłał. Przyjaciel ten, znany i biegły prawnik, uiszczal się dotąd z najskrupulatniejszą rzetelnością. Zdzisław więc, odkąd uległ kaprysowi wspomnień młodocianych, postanowił wioskę tę odkupić choćby za wyższą cenę; zwłaszcza że wiedział, iż nabywca onęj baron \*\*\* mieszkał w stolicy, i nieprzywiązywał do nięj nadzwyczajnej wartości; następnie ożenić się z kochanką lat dziecinnych — Zosią, która zapewne musi nań czekać; przyjaciela Alfonsa posadzić gdzie blisko siebie, rozprawiać z nim



o domowym szczęściu i o dalekich podróżach — słowem, zamknąć się w czysto-uczuciowej sferze.

»Teraz zaczynam odbywać moje stacye, jak po-bożny pielgrzym w Kalwaryi« — mówił Zdzisław przełaząc niski, lecz ocierniony płot ogrodu. »Tu wprawo głęboki jarek, środkiem potoczek... już go słyszę, jak mruczy w nierównych poskokach... Ileż to razy stawiało się na nim młynki, puszczało z kart czołenka, z darni robiło zastawki, aby szumiał głośniej! Jak jego wody i ja zmieszałem się z wielką rzeką życia, teraz powracam do źródła — maluczki! — Ale poczekaj! niech zostanę dziedzicem, zrobię z ciebie śliczny wodospad, o jakim tyle razy jeszcze dzieckiem marzyłem... jaki...«

O cudo!...

Tu Zdzisław odgarniając ostatnią gałązkę krzaku, ujrzał przed sobą wodospad, co zlatywał ze sztucznie spiętrzonych głazów, i zdziwiony nieśmiało dalej postąpić...

»Taki sam — nawet czy nie piękniejszy! czyż ręką odgadła rysunek mojej wyobraźni? kto pod-słuchał tajemnicę?...« — i dodał smutniej niby z narzekaniem: »psotę, psotę zrzuciłaś mi nieznamo-istoto — wolałbym dawniejszy strumyczek!...«

W tém jego narzekaniu przebijało się jednakże radośne zadowolenie miłośnika pięknych, romantycznych widoków — i teraz, już nie jak dziecko, ale jak znawca oglądał go z różnych stanowisk, szukając najmalowniczejszej strony.

»Skończenie! wybornie! Tylko wielki artysta, a raczej ten, kto równe mojemu ma w tych miejscach upodobanie, mógł coś podobnego pomyśleć i stworzyć.«

Jeszcze jakiś czas pieścił się widokiem, a w końcu przywołując sobie na pamięć zwyczaje młodego wieku, ukląkł, zacerpnął dłonią jasnej wody, i napił się na cześć Nimfy tego źródła.

»To pierwsze powitanie — a teraz dalej!... O! widzę was, tam, na urwisku krzaczki leszczyny i głogu i ty jedna topolo!... niezmięłyście waszego stanowiska, tylko rokoszniej rozkładacie gałęzie... Ileż to razy leżącemu na murawie i wybierającemu poziomki użyczałyście cienia i ochłody, ileż to razy odgarnawszy liście, poilem się szerokim stantąd widokiem: na wsie, na łąny, na dalekie góry... Co marzeń! co poezyi! Jakiego projekta do altanki, która tam miała stanąć na greckich kolumnach!... Spodziewam się, że w tém nikt mię nieuprzedził; bo któż, jak ja, podąsany na Zosię, zawsze tam uciekał, a ona z płaczem szukając kochanego zbiega, zastawała go... o szczęśliwy wieku! śpiącego w najlepsze, i uklękawszy oganiała od mu-

szek, a kiedy oczy otwierał, pocałowała w czoło i uciekła... — Dziwne rzeczy!« mówił drapiąc się krętą ścieżką — »niewiedziałem, że pan baron, co tylko zna ważne i nieważne dukaty, zagustował w ogrodzie, jakby po przeczytaniu książki: „O upiększeniu siedlisk wiejskich“ — ścieżki poprzerynane, pozamiatane; nigdzie chwastu i pokrzyw — zapewne musi trzymać porządnego ogrodnika Niemca, i nie więcej...«

Tak rozmyślając dochodził do szczytu ze spuszczoną głową; w tém gdy mu wypadło nagle się zawrócić, trącił czołem o kamienny gzyms kolumny, i ujrzał przesliczną gloryetę, dotąd osłoniętą krzewami. W pierwszym uniesieniu, rękoma chwycił się słupa, i by drugi Samson chciał zatrząść całą budowę i razem z nią w przepaść polecieć. Gdyby wszystko na świecie niebyło mocniejsze od naszego gniewu, stapałibyśmy tylko po ruinach. Toż i gniew Zdzisława prędzej runął, niż kolumna, a natomiast spokojniejsze przyszły namiętności, jak: podziw, domysły, żal, uwielbienie.

»Czy mię kto przez sen podsłuchał, mnie, com temi marzeniami bawił się kryjomo, by skąpiec trzosem? Com ich nikomu niewypowiadał, prócz jednej Zosi, gdyśmy przypominali sobie ten ogród i nasze pustoty, — gdyśmy razem zamki stawiali na lodzie, rozmawiając: jakie tu altany, jakie kaskady porobim, gdy się pobierzem?! — Ale cóż tu wspólnego może mieć Zosia? Zosia, co ani zna barona, co zapewne ani postać w tych stronach od lat wielu? A to czary! Słowo w słowo taką byłbym postawił — te cztery kolumny — półkole — w głębi sofka i stolik; cudowne miejsce ku rozmyślaniu!... Nieprzepomniano nawet i zwierciadła, w którym odbija się tak uroczo ten księżyc wschodzący teraz na widokregu... Jestżeto dzieło przypadku? Strumyk wymagał wodospadu, pagórek altanki. — Ogródnik, czułżebym taką samą w tych miejscach poezję? Piękność natury jestże tak absolutną, że w każdym jedno i to samo obudza uczucie?... Och, co temu wierzyć niemogę; w moich podróżach widziałem ci ja różnego rodzaju entuzjastów, projektujących np. osuszenie jeziora genewskiego i zasianie na niem — lucerny! — Nie — nie, kto tę altankę wystawił, kto wodospad puścił, musi być więcej niż prostym amatorem ogrodu. — «

Zdzisław dostawał prawie zawrotu głowy. »To sen!« — i zapewne, któżby snem nie nazwał: nagle, niespodziane ziszczenie czegoś, co żyło tylko w naszej fantazyi, co było przedmiotem wzdychań i dumania?... To sen! jemu się zdaje, że śni jeszcze na obcej ziemi, że go przebudzi turkot paryskiego bru-



ku, powita kilkołokciowe niebo w ciasnej ulicy, lub krzyk papugi w sąsiednim oknie — ale chłodek z zapachem kwitnącego zboża tak błogo kąpał piersi, a szerokie niebo tyłoma patrzyło nań gwiazdami; a przepiórka z słowikiem taki dwuspiew zawiedli, że uwierzył w prawdę.

»Dzięki ci, dzięki!« — wołał teraz z zapałem — »ktokolwiek przyłożyłeś tu rękę, kocham cię przez estetyczne pokrewieństwo ku jednej piękności — artyści są sobie braćmi; tylko, żem ja tu więcej niż artysta« — dodał żałośnie — »ja wychowaniec, ja dusza wszczepiona jak w ogrodzie Armidy!«

Miłość jego własna zrazu tak dotknięta, uspokoiła się, gdy we wszystkich upiększeniach nie znalazł, coby ściągało krytykę nietylko znawcy, ale kochanka — owszem, był rad tą myślą, że przyjdzie do gotowego — bo ofiara zawsze ofiarą, ktokolwiek ją zapali.

»Jeszcze jedno miejsce, najtkliwszą, najuroczystszą naznaczone pamiątką« — mówił zapuszczając się w głąb ogrodu. — »Za tą kasztanową ulicą, która teraz tak wybujała, stoi tam zapewne owa lipa starożytna — zda mi się nawet, że jej wierzchołek ostrzegam nad innymi drzewy — pod jej zielonym sklepieniem śliczny niegdyś rozciągał się trawnik, tam grywaliśmy w zajęcia, tam nasze podwieczorki, tam — jak dziś pamiętam! a miałem rok siódmy czy osmy, dzień był przesłiczny po majowym deszczu, matka moja od kilku miesięcy cierpiąca i zamknięta w swoim pokoju, pierwszy raz podniosła się z łóżka, by użyć świeżego powietrza — wyszliśmy do ogrodu: jedną ręką wspierała się na ojcze moim, a drugą to na mnie, to na Zosi — a była bardzo wyschlą i bladą, jak która z lilii, co wtenczas kwitły. „Mamo! wołałem — usiądź na mojej kanapce darniowej pod lipą, dla ciebie ją zrobiłem, bo tam i cień i ładny widok...“ — „Dla mnie ją zrobiłeś, biedny...“ niedomówiła, tylko przycisnęła do siebie, a chustkę podniosła do oczu i usiadła. — „Ach! jak mi tu dobrze!“ mówiła potem oddychając pełną piersią, niby chąc wypić wszystko powietrze i słońce. — „Zdzisiu, pamiętaj pielęgnować ten ogród, ja go tak lubię!...« Nierozumiejąc téj myśli, rzuciłem się jej do kolan i zanosilem od placu; a ona: „mnie lepiej, synu — słońce tak ożywia, róże tak pachnią; pamiętaj dużo tu róż nasadzić!“ — Ostatni to był jej poranek; nad wieczorem zgasła z kładnącym się słońcem!...«

(Dokończenie nastąpi.)

## Kilka ustępów

z najnowszej powieści **J. Kruszeńskiego**:

### GABE ŻYCIE BIEDNA.

(Ciąg dalszy.)

Po zaręczynach, nastąpiła smutna chwila ślubu, a smutniejsze jeszcze pożycie małżeńskie. Autor wystawia nam w przykrych, ale niestety prawdziwych rysach często powtarzające się sceny w pożyciu familijném, na które patrzą sąsiedzi, znajomi, bez śmiałości wypowiedzenia prawdy tyranowi domowemu, bez zaradzenia złemu. Taką ofiarą jest Anna, cierpi jak ofiara niewinna na torturach lub rusztowaniu. Ale nieuprzedzajmy autora, niech on nam wypowie sam, to co uczuł:

»Zdaje się, że z poprzednich czynności łatwo już odgadnąć cały charakter pana Mateusza. Byłoby, jakieśmy widzieli, egoista bez najmniejszego współczucia dla drugich, usposobiony ku temu po części organizacją, poczęści wychowaniem i początkami życia. Pozbawiony także uczucia, które pospolicie zwiemy sumieniem, utrzymującego równowagę czynności ludzkich ze sposobem widzenia ich wewnętrznym człowieka, nie doznawał zgryzot nigdy, nie zastanawiał się nad tém co czynił, siedł tylko za interesem swoim, a zmierzając do tego celu, środków niewybierał.

Niektórym poczciwym a prostodusznym ludziom wyda się to może przesadzoném, lecz niestety! są tacy ludzie. Zakrywają się oni powierzchownością mniej więcej znośną, gdyż jakieś uczucie przyzwoitości niedozwala im zupełnie obnażyć się przed ludźmi, chyba w ostateczności. W domowym pożyciu dopiero odkrywają się oni ze wszystkiém. Tu samoluby niechcąc sobie nawet zadać pracy ukrywania swego bezecnego charakteru, mało dbając o szacunek otaczających osób, bezwstydnie okazują się im w całej szkaradzie swojej.

Tyrani domowi niecierpią najmniejszego sprzeciwienia się swéj woli, niechęcą uczynić najdrobniejszej ofiary z siebie, a wszystkim każą naginać się posłusznie przed sobą i służyć namiętnościom, chętkom, kaprysom. Tacy to jednak ludzie nie raz uchodzą w opinii za zacnych obywateli, surowych ojców familij, lecz sprawiedliwych i rozumnych; gdy w istocie są to zbrodniarze, którym do dopełnienia zbrodni większej, brakło tylko okoliczności lub śmiałości. Są bowiem tchórze, jak wszyscy



Takim był i pan Mateusz, a życie Anny z nim niewiem czy nawet malować potrzeba. Któż niepojmie, co to było za życie? Z jednej strony uległość, poświęcenia nieustanne, męczarnie, z drugiej nielitościwe wymaganie coraz nowych ofiar, znęcanie się i przemyślnie dręczenie. Egoiści mają w sobie coś natury kata i dzikiego zwierza, lubią męczyć i pojmują tę dla innych tak niepojętą rozkosz tyranizowania słabszych. Mateusz im powolniejszą sobie, im uleglejszą, łagodniejszą widział Annę, tém sam bardziej się srożył, więcej wymagał i wszystko co czyniła złém znajdował, dla tego tylko, żeby ganić. Nawet w sposobie odzywiania się do żony miał pan Mateusz intencją męczenia, bo nigdy inaczej niepowiedział słowa, jak tonem albo rzeczą urągając się, szydząc, znęcając. Dodajmy do tego, że wobec ludzi zmyślał czułość i wymuszał na żonie, żeby jej troski domowe maskowały się wówczas sukienką szczęścia. Przy gościach Anna musiała się uśmiechać, mąż przemawiał do niej z łagodnością, naprowadzał ją na kłamstwa i zmuszał do nich, bo biedna żona jakże mogła mu przeczyć? Tak naprzykład chytry opisywał nieraz przy ludziach swoje szczęście domowe, zmyślał jakieś niepraktykowane czułości dla żony, wzywał ją na świadki jakiegoś wypadku całkiem niebyłego; a ledwie drzwi się za świadkiem obcym zamknęły, zapadała kortyna, kończyła się komedia, i zimny egoista wracał do naturalnej postaci.

Anna zносиła to jak anioł! Przekonawszy się, że użalanie na cierpienie innego skutku niesprawia, tylko podbudza jeszcze męża do wymyślenia męczarni, milczała cierpiąc i niewydawała, że cierpi. Ile razy pan Mateusz poznał, co jej niemiłym było, wysiłał się, żeby to stokroć powtórzyć i nasycić się jej męką. Anna więc chcąc sobie ulżyć, musiała udawać zupełną na wszystko nieczułość. Z równą pilnością trzeba było kryć, co przyjemność czyniło, bo Mateusz nieomieszkałby zagrozić jej drogę najniewinniejszych nawet rozrywek. Rozważcie więc położenie téj kobiety, i pojmijcie jej męczarnie. — W domu była ona tylko pierwszą sługą męża, a to pierwszeństwo nadawało jej przywilej smutny odpowiadania za wszystkich i wszystko. Cokolwiek kto źle zrobił, pani wszystkiemu była winna, pani za każdego odpokutować musiała. A jednak nic do niej nienależało, żadna część zarządu domowego, żadne rozporządzenie dochodów, nic a nic. Najcięższe tylko, najnudniejsze, a mało ważne czynności były jej udziałem.

Może być, że pierwsze chwile po weselu byłyby inną, cokolwiek znośniejszą barwę przybrały,

gdyby temu nie stanął na zawadzie zbieg okoliczności, A naprzód p. Mateusz rozgniewany omdleniem żony i plotkami, jakie stąd wyniknąć mogły, już się niekrył z swoją niechęcią i gniewem, odkazywał się z zemstą od pierwszego wieczora. Powtóre zawiódł się na posagu, i choć to miał tylko za chwilową przeciwność, niemając na kim, poszukiwał swego zawodu na żonie. Ciotkę szanował i skarbił jej łaski w nadziei zapisów, o żonę zaś niedbał wcale, wiedząc, że musi mu być posłuszną. Tak od pierwszych dni poczęły się męczarnie, które, szydząc z czułości Anny, z upodobaniem mąż jej zadawał. Gdy przybyli do Brzozówki, zapowiedział jej dalszy ciąg życia, określił obowiązki, i rozwinął niejako przed nią całą perspektywę nieszczęścia i udręczeń.

Anna nic nie miała, coby właściwie do niej należało w domu, woli nawet w najmniejszej rzeczy. Jestto własnością egoistów, że rozwijając swoją wolę na jak najobszerniejszą skalę, niecierpią manifestacji jej w drugich, z nimi żyjących. Anna nie mogła włożyć sukni, nie mogła wyniść z domu, nie mogła płakać nawet, bez zezwolenia i sankcyi pana Mateusza. Nielitościwy samolub mieszał się we wszystko, wtrącał się w każdą rzecz. Jeśli jechali w odwiedzinę, dyktował jej strój, nakazywał minę, uczył ją co mówić miała, kształtował ją całkiem na swoje wyobrażenia. — Tak, oprócz wszystkiego, Anna jeszcze cierpieć musiała na tém, że się nawet taką, jaką była w istocie, okazać nie mogła. Niepodobna jest opisać szczegółów tego wymyślnego męczeństwa. Los każdego sługi znośniejszym był od jej losu, bo w życiu z takim człowiekiem cierpienie rosło w stosunku zbliżenia, a nikt nie był ciągle bliższym poczwary nad nią.

Anna wychowana religijnie, przywykła do delikatnego obchodzenia się, do zachowywania pewnych reguł przyzwoitości, nieznała nigdy całej szkarady, na jaką się wyuzdany zdobyć może człowiek, świat niepokazał jej się nigdy w czarnej swój sukni, krwią i łzami zbroczonęj, opily, chwiejący się, bezwstydy. — Mąż zaś usiłował zabić w niej wszelki wstyd, wszystkie złudzenia, wszelką wiarę w cnotę, starając się pokazać, że ludzie są zawsze interesowani, że wszyscy są tacy, jak on. Niezważając na to, że ją tém kaleczył najdotkliwiej na wszystkich nadziejach, obnażał przed nią złą stronę świata, najgorszą stronę swoją i otaczających ludzi, pokazywał jej egoizm we wszystkich czynnościach, obłudę co krok, pracował nad jej zepsuciem gorliwiej, niż inni nad ukształceniem pracują. W tych szyderskich jego uwagach, których ona zmuszona była słuchać, wyprowadzał po jednemu wszystkie wiary



poetyczne, niewinne, dziecięce, oglądał je z urąganiem, rozbierał, analizował, podstawił pod nie kontrast, i niszczył urok najśodszy życia; dowodząc, że złe jest prawdą, a cnota fałszem.

Kiedy się ona ze łzami oburzała, on z uśmiechem nastawał, nasycając się jej niewinnością, walczącą z ziarnem złego, rzuconém w czystą jej duszę. Tym sposobem nagle przedstawił jej Mateusz odwrotną stronę znajomego świata, czarną, plugawą, paskudną jak on sam był; kazał jej wierzyć, że czysta i piękna strona życia istnieje tylko w wyobraźni i jest ułudą. Lecz mimo swoich usiłowań, niepostrzegł on wszczepić w nią wiary w złe i swojego piekielnego egoizmu. Poznawszy z jego nauk czarną stronę, Anna wierzyła w białą, i za sen, za omanienie brała plugawą rzeczywistość, którą on jej tak starannie okazywał.

Trudno powiedzieć, co miał w tém za cel mąż; był on spokojny o żonę i pewny jej cnoty, może więc dla tego, że swoim instynktem męczenia chciał ją tylko udrećcać, zabijając w niej najśodsze pocięchy, znajdowane w wierze i nadziei. Nierachował wcale, jakie skutki wyniknąby mogły z zepsucia jej, a w swojej nieubłaganej woli, na wszelki przypadek, miał ratunek, który zepsuciu nawet siłyby nie dał objawić się uczynkami.

W pierwszych chwilach nie niezrówna podziwieniu i zgrozie, jakie przejęły Annę, gdy się jej przyszłość, straszniejsza nad wszelkie okazała pojęcie. Jakkolwiek życie w Złotej-Woli było przejściem osłabiającém wrażenie dawnych pieczęt rodzicielskich, jakkolwiek ciocia przygotowała ją do nieczułości, do uległości i posłuszeństwa bez miary, pan Mateusz ze swoim cynizmem bezwstydnym zdał się z początku czémś tak dziwném, że czasem sądziła w prostocie ducha, iż to wszystko tylko się jej śniło. — Ciotka acz sroga, acz w domu niecierpiąca drugiej woli, acz niepojmująca uczuć innych, prócz uczucia boleści w żołądku i gniewu (amplifikacja), była jeszcze i czułą i najczulszą przy panu Mateuszu, który z professyi w nic nie wierzył, czego niemógł dotknąć, namacać i sam nie doświadczył. — I to znowu jest egoistów przymiotem, że cały świat sądzą tak zbudowanym, tak uorganizowanym, jak oni sami, nieprzypuszczają innego człowieka, tylko na obraz i podobieństwo swoje; ale to mają wspólne z głupcami pewnego rodzaju. Tak naprzykład p. Mateusz niepojmował w żonie nabożeństwa i zwał je udawaniem, tak nie wierzył w litość i łzy, które miał za wymuszone, tak całkiem niepojmował uczucia wstydu i możności poświęceń i wielu innych pięknych i potrzebnych uczuć. Nielitościwie

wojując o to z żoną, przesładował ją co chwila o pobożne westchnienie, o wstydlivy rumieniec, o grosz jałmużny i t. p. Najpospolitszym jego orężem było dotkliwe szyderstwo, którem instynktowie umiał tak kierować, że zawsze najboleśniej ranił.

(Dokończenie nastąpi.)

## ● moralności dla kobiet.

Przez K. z T. H.

(Ciąg dalszy.)

### VII.

#### ● szczęściu.

Już wiemy dostatecznie, że całe życie człowieka jest wielką i niustającą edukacją, której przedmiotem jest doskonalenie się. — Lecz ta cała praca, wszystkie poprzednie zachody, muszą przecież mieć cel jakiś, muszą mieć swoją nagrodę? Wszak nikt bez ważnych powodów, bez szlachetnej i lubej nadziei wielkich trudów nie podejmuje? Wszak nikt nie puszcza się w zawód niebezpieczny wieńca, a mety niewidząc? Jakażto więc nadzieja w tych wszystkich zabiegach nas wspiera, do jakiegoż dążymy celu? — Ludzie, świat, rozum, serce nasze, a przede wszystkim wiara odpowiedzą nam razem: tą nagrodą, tą nadzieją, tym celem jest szczęście. Sam Bóg stwarzając człowieka, ten piękny i drogi cel mu wskazał, sam Bóg chcąc nam ułatwić jego pozyskanie, wlał w serca nasze żywe szczęścia pragnienie; sam Bóg dostępném czyniąc źródło prawdziwego szczęścia wszędzie i dla wszystkich, okazał, że chce, aby wszyscy ludzie szczęśliwymi byli.

Bo i jakieżby mogły być inne zamiary Boga nieskończenie dobrego względem istoty, którą na swój obraz i podobieństwo stworzył i tyle ukochał? Jakieżby inne widoki z równą dzielnością pobudzać mogły człowieka? Chęć, aby mu dobrze było, dziecię w kolebce, starca nad grobem zajmuje; każdy rad złego uniknął, każdy pragnie, aby mu było jak najlepiej. — Przeszedłszy téż wszystkie stany od najwyższych do najniższych, odchyliwszy każdego serca ludzkiego zasłonę, jakąż powszechną lub rozmaicie barwioną ujrzymy dążność, jakie wyjdzie na jaw jednogodne życzenie? oto wszędzie, zawsze, każdy do szczęścia wzdycha i dąży, każdy we wszystkim, co tylko przedsięwzięcie i czyni, ma na widoku szczęście własne lub drugich. — Wreszcie, cóż nad tę dążność, nad to pragnienie przyzwoitszego i naturalniejszego być może? Wszak nieznająca siebie ro-



ślina szuka miejsca najdogodniejszego jój rodzajowi? Wszak człowiek, kiedy nieme zwierze polubi, troskliwym jest o jego dobry byt? a dla siebie miał-żeby mniej być czułym i baczny? a kiedy mu Bóg dał jakby w zakład częśćkę nieśmiertelnego ducha swojego, kiedy w przepisach religii pełnej miłości bliźniego tyle tylko, ile samych siebie kochać nam przykazał, miałibyśmy niepielegnować troskliwie i nieuszcześliwić stósownie do jój godności istoty naszej? Jakiżby — zwłaszcza dla osób myślących — wynaleźć i wskazać inny cel i owoc zabiegów koło doskonalenia siebie? wszak uczony i święty mąż powiedział: „Człowiek żadnej silniejszej pobudki do nabycia mądrości niema, jako, żeby siebie uszcześliwić potrafił.“ \*) — W mojem téż przekonaniu niewolno nam ani myśleć ani czynić inaczej; i lubo na pozór to zdanie może mieć dla niektórych coś rażącego w sobie, ja przecież wypowiem je śmiało, bo mam w duszy pewność, że się niemylę: „Szczęście jest powodem życia każdego z ludzi, celem, dla którego nas stworzył Bóg pełen dobroci, metą, do której zmierzają najszlachetniejsze zabiegi ludzkie; pozyskać i zapewnić sobie szczęście jest główną powinnością człowieka względem samego siebie.“

Ale gdzie źródło tego szczęścia, jakie jest, jakich środków używać nam wolno do zabezpieczenia go sobie, jakie są korzyści i owoce jego? oto ważne pytania, które niejednostajnie przez wszystkich są rozwiązywane, ale na które ludzie wierzący i moralni zgodną w sercu swoim znajdują odpowiedź.

A naprzód, cóż to jest szczęście? jest to dobro najwyższe, stan błogi i zupełny, który nic do życia niezostawia. Roślinie zatem grunt dogodny, promień słońca, kropla rosy, wystarczą ku jój szczęściu; dla niemego zwierza byt dobry jest dostatecznym; ale człowiekowi, istocie rozumnej, wolnej, nieśmiertelnej, czegoś więcej potrzeba. Szczęście przeto człowieka powinno być dla każdego z ludzi dostępne i podobne do nabycia, a prócz tego nie tylko trwałe, lecz wieczne. Niejest więc szczęściem piękne, dorodne i zdrowe ciało, bo niejest własnością wszystkich, nabyć go niemożna, i tak prędko się zmienia. Rodu znakomitego, bogactw, dostojenstw, sławy, nazwać niem także nienależy; mało kto je posiada; w śmierci mają także koniec swój, a i przed śmiercią utracić niektóre snadno. Niekryją téż szczęścia w sobie wysokie talenta i nauki, bo niewielu ma zdatność do nich, i często więcej pracy i zawodów, niżli korzyści i pociechy przynoszą. Próżnoby go szukać w zabawach, w uciechach, w rozkoszach;

naprzód, nie są pod ręką wszystkich; powtóre, zrazu miłe, wnet czczość, nudy i wstręt sprawują; nie-spoczywa nawet szczęście w rozlicznych związkach serca, gdyż jakkolwiek słodkie, mało co jest w nich trwałego; rozrywa je zwykle jeśli nie oddalenie lub niestałość, to śmierć bezwzględna. — A zatem nie-ciągnąć dalej tego już tyle pospolitego badania, my co wiarę mamy, moralności hołdujemy, wyznamy głośno: »Wszystkie wymienione dobra pomyślność ziemską składają, mogą być pomocnikami szczęścia, ale źródłem jego sama tylko cnota. Cnota, owa moralność w uczynkach, owa wypłata wierna i chętna wszystkich powinności; cnota, owo spełnienie dobrowolne choćby najtrudniejsze dobrego; owo pokonanie choćby najpoważniejszego złego.«

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

## Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

### Zabawa z gościem w domu i za domem.

d) G r y.

(*Ciąg dalszy.*)

dd) Kręgle czyli bira, kupki, zakryty, Zeland, Szacfancl, cegielki, mąka.

Kręgle ulubioną były grą gminu: chłopci i chłopięta najczęściej je rzucali. Jak kot na myszy, mówi Rej, dybał z galką chłop pijany; puknął w ścianę (w podłogę), a wnet zawołali drudzy »zyskał« i płacąc piwo narzekali na przegraną <sup>1)</sup>. Skąd ja wnoszę, że grać w birę toż samo znaczyło co i kręgle, gdy piwem (das Bier) przegraną płacono; to jest, że się zakładano, kto więcej rzuci, a ten co wygrał, miewał od drugich zapłacone to piwo, które wypił w karczynie <sup>2)</sup>. Dla tego mówi Szymonowicz <sup>3)</sup>: »od galek do bierek, a od bierek do pisanych.« Co znaczy, że naprzód na żart, później na piwo, a następnie na pieniądze grano. W kupki grywano podobnie jak i teraz, kilka ich postawiwszy i w jedną coś ukrywszy, kazano zgadnąć, w której kupce jest rzecz ukryta. Podobną do téj była gra w zakrytego. Ukrywszy rzecz w dłoni, zgadywać kazano, w której się ona znajduje ręce. O téj grze mówiono także:

Staw setnem, komu to wadzi,

Że kto lichem na szanc sadi.

Coby znaczyły gry: w Zeland, w Szacfancl, w cegielki, w mąkę, w żurawkę, w gryszforta <sup>4)</sup>, odgadnąć nieumiem.

\*) Ś. Augustyn.



Wszystkie te gry odbywały się dla zysku, i gracje do trzosa często sięgać musieli, a gdy kto zapłacić czém nie miał, membranę (rewers) że zapłaci, dać na siebie musiał<sup>5)</sup>.

- <sup>1)</sup> Rej, Wiz. 67. <sup>2)</sup> Światowa roskosz gry; inaczéj tłumaczy tę grę p. Gołębiowski, gry i zabawy str. 64. <sup>3)</sup> Siel. 16. <sup>4)</sup> U Gołębiowsk. gry i zabawy str. 63. <sup>5)</sup> Dosłownie wyjęto ze światowej roskoszy, gra.

### e) R o z r y w k i.

aa) Grać o rozkazanie, pierścionek, szpaczkarz, jaja, trawka, gaska, murka, kot, tasak.

Dla saméj zaś rozrywki zabawiano się grając: o rozkazanie, gdy jeden zapytał się drugiego, czy uczyni to, co mu rozkazaném będzie. Zapytany przystawał na to, zwłaszcza gdy nic nieobyczajnego rozkazać niedozwalało dobre wychowanie i towarzystwo dobrane, i gdy rozumiał, że przyjaciel rozkaże mu uściśnąć siebie, lub coś podobnego. Aliści oszukał się wielce, bo tamten kazał mu posłać po pieczeń i po garniec wina<sup>1)</sup>. Jeżdżąc na koniu trafiano do pierścienia, podobnie jak dziś w karuselu; zamiast pierścienia używano niekiedy czapki. Wyprawiano sztuki, tasak do góry rzucając i łapiąc go na powietrzu<sup>2)</sup>. Rzucano w górę jaja i z ręcznie je łapano. Wyprawiano naprędce dyalogi, szczeniąc udane rozmowy, co zwano szpaczkarzem (niby udawaniem szpaka). Dwóch figlarzy zwykle Pankracym i Czechaczem zwani, niby kłócąc się, z trzaskiem wchodzili do komnaty: nadbiegł na to trzeci, zwany wymyślny Walek, czyli udający chłopca młodzieniec, który co mu tylko do głowy przyszło, wymyślał na owych figlarzy. Było to naśladowanie dawnych włoskich mimów. Tegoż rodzaju zabawy przedstawiali czarnoksiężnicy i miotlarze (mietelnice), tudzież insi powsinogowie (włóczęgi), którzy ubiegając się za obiadami, jeździli od domu do domu, a za to, że się najedli i napili, widowisko z siebie współgoscim dawali<sup>3)</sup>. Starzy lubili żartować z białą płcią, pustoty w sadzie wyprawując, grając w kota (ciągnąc kota), w gaskę, podobnie jak i teraz. Gra w trawkę znaczyła toż samo, co dziś gra w zielone, w murkę toż samo, co w mrućka. Coby znaczyło grać w mąkę, niewiem<sup>4)</sup>.

- <sup>1)</sup> Rej, Żyw. 25. <sup>2)</sup> Rej, Żyw. 24. 113. <sup>3)</sup> Właśni niedźwiedznicy, powiedział Bezimienny. <sup>4)</sup> Kochanowski. fraszka 10., dosłownie ze światowej roskoszy, gra.

### bb) Zabawy chłopiąt.

Ulubiona chłopiąt zabawa była w żołnierzy. Podzieliwszy się na dwie kupy, jedni udawali nieprzyjaciół, a drudzy Polaków, i tak ze sobą staczali

boje<sup>1)</sup>. Puszczano bąka, czyli, jak go nazywano, cygę; grano w piłkę czyli we chwytkę<sup>2)</sup>. Dówcip młodzieży ćwiczone grając z nią w pytania. Sławna była gra o słomie, na co dobra, którą ćwiczył dówcip swoich pacholąt ksiądz biskup Tomicki. Pytano się po kolei każdego, na co się przyda słoma? a kto niewiedzial powiedzieć, na jakiby ją użytek obrócić można, albo odpowiedział niestosownie (np. że się zda na paszę dla kur), przegrywał. Była druga gra mająca nazwę: niebędzie jój ten pił, niechaj on ją pije<sup>3)</sup>, której odgadnąć nieumiem.

- <sup>1)</sup> R. 1514. u Bielsk. kron. str. 524. <sup>2)</sup> U Gołębiowskiego, gry i zabawy str. 13. 14. <sup>3)</sup> Gorn. Dworz. str. 8.

(Dalszy ciąg później nastąpi.)

## ROZMAITOŚCI.

W czasie pochodu orszaku pogrzebowego z zwłokami poległych w dniach lipcowych w Paryżu, zganił pewien gwardysta narodowy człowiekowi obok stojącemu, iż swego kapelusza niezdjejmuje, kiedy inni to czynią. Zagadniony odpowiedział: »tój czi ofiarom lipcowym okazywać niemogę, bo między niemi i noga moja się znajduje, skromność zaś wzbrania mi ją pozdrowić.« Gwardysta narodowy pojrzał po mówiącym i przekonał się, iż miał nogę drewnianą.

Liepmann malarz pracuje nad wydoskonaleniem swojego wynalazku, odtłaczania obrazów olejnych. Obraz Mieris ma właśnie teraz pod prasą. Według téj metody odtłacza 100 egzemplarzy tego obrazu na dzień, bez pomocnika.

Najbogatszym lekarzem był zapewne Dr. Graefe, sławny okulista w Berlinie. Pozostawił po sobie trzy miliony sześćkroć sto tysięcy talarów. Doktor Graefe, jak wiadomo, pochodził z Warszawy.

Hiszpanki w naszych czasach. Pewien podróżny, który zwiedził Hiszpanią w tym roku, powiada: Hiszpanki zarzucają teraz swój ubiór narodowy, czarny kolor i mantyle. Gdzie mogą, tam ubierają się w jasne kolory i naśladowują angielskie i francuzkie mody. Mantyle byłyby już dawno tam zapomniane, gdyby nie było zwyczaju w nich chodzić do kościoła. Hiszpanki wiele tracą na swéj piękności, ubierając się teraz po nowomodnemu, daleko więcej podobały się w swym charakterystycznym ubiorze narodowym. Damy wyższych stanów nie są w powszechności pięknymi, a wiele jest między niemi bardzo małych.



Wielki zachodzi kontrast między królową portugalską, a jej mężem. Pierwsza, lubo dopiero ma 20 lat, jest nadzwyczaj otyłą, drugi nadzwyczaj szczupły.

Sceny na smętarzach w Konstantynopolu. — W piątki, niedziele i dni uroczyste takie mnóstwo zbiera się ludzi po smętarzach konstantynopolińskich, co po bulewarach Paryża. Turczynki, armenianki, greczynki i żony franków, siedzą w odosobnionych grupach, na grobach lub arabatach (wozach), palą tytuń i bawią się widowiskami i zabawami, jakie odbywają się na grobach. Zabawy te, są to greckie i inne tańce, uderzania się, skakania, kołysania i t. d., w czém biorą udział osoby rozmaitej płci, narodu i wiary. Przytém jedzą i piją.

Szlachta malabarska dochowuje dziwnego zwyczaju, jedna kobieta bierze czterech mężów. Prawo spadku to ma u nich właściwego, iż tylko dzieci siostry przychodzą do spadku. Chłopcy nic niewiedzą o swoim ojcu, i rozmawiają tylko o mężach swych matek i o wujaszkach, po których biorą puściznę.

**MODY.** — Paryż, dnia 7. Września 1840. — W krojach sukien zachodzi wielka różnorodność. Ujrysz staniki gładkie, jako stalową zbroję; inne z niezliczonymi fałdami. Wybierają więc formy, które najlepiej stroją. Powłoki osadzają tak, jak sobie kto życzy; falbanami, bufkami, ukosami; rękawy są obcisłe lub buchaste; dziś moda nie jest tak ścisła. Są przecież prawidła, od których odstępować w modach nie należy. I tak suknie z przed dziesięciu wieków być mogą modne, gdy tymczasem za takie uznać nie można sukien z przeszłego lata. Napróżno podmawiają damy, aby wybierały, co im do twarzy; wybiorą raczej rzecz modną, aniżeli upiększającą postać. Przyznać jednak potrzeba, że kapotka, szarfa, suknia z ubiegłego roku choćby najpiękniej była dokonana, nadaje postaci damskiej coś z przeszłych czasów.

Nic nowego w tych dniach nie widziałem, wyjąwszy może rękawy à la duchesse de Nemours, za których pomocą może między rękawami obcisłymi, a buchastymi, nastanie rozejm. Są krojone na ukos, a z przodu ramienia obcisłe; ku górze rozszerzają się tak, że aż się zwieszają. Z przodu trzy lub cztery guziki.

Widziałem przy otwarciu wielkiej opery wiele dam wystrojonych, ale o nowościach nie wspomnę,

bo prawie ich dostrzedz u nich nie było można. — Większa część miała białe suknie i pojedynczy strój włosów na głowie.

Korale ciągle są modne; noszą wiele naszyjników koralowych i bransolatek.

Dodam tu opis kilku ubiorów zupełnych, które w ostatnich czasach widziałam.

Ubiór zwyczajny, czyli negliż w domu; suknie z czarnej kitajki z falbaną i rękawy u dołu obcisłe, z góry opadające. Fartuszek z brunatnej kitajki. Chusteczka z białego tulu, pojedyncza, na niej druga z czarnych koronek. Czarne jedwabne pończochy. Trzewiki z szarego marokinu.

Zwyczajny ubiór na wyście. Szlafroczek z szkockiego muslinu wełnianego, w kratkę czerwoną, zieloną i niebieską. Mały kołnierzyk z koronek paryskich. Szarfa podobna do sukni. Kapelusz słomiany zdobny paskiem czarnym aksamitnym i chusteczką z czarnej koronki. Kafowe buciki. Szwedzkie rękawiczki. Lśniący parasolik.

Toaleta na wyście. Suknia bareżowa w pasy o dwóch falbanach i z rękawami bufkowemi. Mały kołnierzyk i mankiety koronkowe. Szal haftowany muslinowy. Kapotka organtynowa, koronkami zdobna. Buciki z szarego marokinu.

Zwyczajny ubiór na wieczory. Suknie z szkockiej kitajki o dwóch falbanach. Kanezu z białego muslinu. Stanik i rękawy ściągane, mały kołnierzyk koronkowy. Trzewiki z czarnej kitajki.

## Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z krepy haftowanej, zdobny kłosami. Suknia bareżowa osadzona falbanami w kolorowe zęby. Stanik na pół otwarty i w poprzek ściągany. Rękawy z bufek złożone. Przepaska długa z jedwabnej wstążki. Szarfa szkocka.
2. Kapelusz jedwabny z sianiającym się piórem. Suknia z bramowanego jedwabiu, o kilku falbanach. Stanik szalowy we fałdy układany. Rękawy obszerne, u góry ujęte.
3. Kapelusz jak u 2. Szlafroczek z jasnej wełnianej tkaniny, z gładkim stanikiem, osadzonym trzema rzędami guzików. Jeden rząd guzików na powłoce. Rękawy obcisłe. Chustka z tkaniny mieniającej się we wzory.
4. Ubiór męzki. Surdut z szerokimi klapami i obcisłymi rękawami. Pantalony w ujęciu we fałdy ułożone. Kamizelka i krawat kolorowy.





L. Brietner, sc.



